

Jan Ludwiczak - trzeba być wariatem, żeby żyć tylko dla pieniędzy

Kalina Gierblińska



Tym razem pojechaliśmy do Śremu, do jednego z najstarszych miast w Wielkopolsce. Spotkaliśmy się z założycielem Klubu Jeździeckiego Agro-Handel Śrem, Janem Ludwiczakiem, o którym mówi się, że jest mecenasem sportu. Wszystko się zgadza, w swoim życiorysie ma zapisaną współpracę z klubem piłkarskim, kolarskim, żużlowym, a i w Śremie historia sportu sięga XIX wieku.

Nas interesowało to, kim jest człowiek, który sprawił, że jego klub jeździecki po raz szósty okazał się najlepszym w rankingu Polskiego Związku Jeździeckiego.

W słynnych zielonych frakach startowali i startują tacy zawodnicy jak: Aleksandra Lusina, Mściwoj Kiecoń, Jarosław Skrzyczyński – jednym słowem, liderzy polskich parkurów. Jak wyglądało nasze spotkanie?

Chciałabym zacząć od wspomnień z dzieciństwa związanych ze sportem, zanim przejdziemy do tego, co w teraźniejszości jest dla pana ważne. Pamięta pan, jak uczył się jeździć na rowerze?

Zwykle to ojciec uczy dziecko jazdy na rowerze, a ja pamiętam, że nauczyłem się jej sam i dosyć szybko ją pojąłem. Jakbym był do tego urodzony. Zawsze dobrze jeździłem. Nie umiem przypomnieć sobie, co mnie tknęło, by jako dziecko samemu usiąść na siodelku i zacząć pedałować. Po prostu wziąłem dwukołówkę, pojechałem przed siebie, spadłem może raz, a potem już trzymałem równowagę. I stąd chyba wzięło się moje zamiłowanie do kolarstwa.

Czyli, można powiedzieć, że jest pan urodzonym kolarzem. Jak laikowi wytłumaczy pan, co w kolarstwie jest takiego nakręcającego?

O, to wyjątkowo nakręcający sport i to dobre określenie! To jest sport, w którym człowiek musi bezwzględnie wierzyć swojej sile, wytrzymałości, treningowi. Za moich lat nie było możliwości, żeby sportowiec, jakiegokolwiek dyscypliny, miał czas na alkohol, papierosy czy inne używki. Jeżeli kolarze szukali dopingu, to mówili, że trzeba kupić witaminę C do rozpuszczania o smaku oranżady albo łyknąć surowe jajko z czerwonym winem. To były takie czasy. Sukces w sporcie zależał wyłącznie od człowieka i czy to nie brzmi pięknie? Dopingu nie było. Kiedyś przed wyścigiem wypiliśmy z kolegą na spółkę rizlinga (wino słoweńskie – przyp. red.). W efekcie kolega wycofał się po kilkudziesięciu kilometrach przebytej trasy, źle się dla niego to skończyło, a dla mnie to była wystarczająca nauczka. Kolarstwo to jest morderczy sport, nie da się tego porównać do jeździectwa czy żużlu. Miałem przyjaciół z jednej kamienicy – kolarzy, których nie dawało się wyciągnąć na żadną dyskotekę. Profesjonalizm oznacza poświęcenie bardzo wielu rzeczy, w tym przyjemności, czasu dla bliskich.

Czy dla pana miłość do kolarstwa wiązała się z wyrzeczeniami?

Nie, byłem sekretarzem LZS Głuchowo. Zdobyliśmy Mistrzostwo Młodzików w 1963 roku. Jako działacz klubowy chętnie wyjeżdżałem ze sportowcami i przeżywałem ich starty, to było bardzo wzmacniające doświadczenie. To wręcz była uciecha życia. Nigdy nie byłem wybitnym zawodnikiem, nie startowałem w wielkich wyścigach, sprawdziłem się jako organizator, ale powiem szczerze, że do dziś pamiętam wrażenia kolarza-amatora, ten nie do opisania ból w łydkach, w udach... Nigdy nie było mnie stać na to, żeby osiągnąć wyższy poziom. Byłem zbyt leniwy i nie chciałem, aż tak się poświęcać. Pamiętam, że kiedyś wybrałem się z moimi czołowymi zawodnikami z klubu na wycieczkę rowerową, właściwie trening. Jechaliśmy pod górę, wydawało mi się, że jestem w dobrej kondycji, mimo że na co dzień pełniłem funkcję sekretarza klubu, a nie czynnego sportowca. Chciałem dotrzymać im kroku. Nie mogłem w ogóle złapać oddechu. Pokazali mi, jaka ogromna dzieli nas różnica. Wtedy zrozumiałem, że wsparcie dla sportowców trzeba poprzeć szczerą wyrozumiałością.

A jak to się stało, że zaczął pan wspierać żużlowców?

Mój współnik, Henryk Wachowiak, był i jest kibicem, fanem sportu żużlowego i namówił mnie na wyjazd na zawody żużlowe. Później zostałem członkiem zarządu Unii Leszno, gdzie przez 13 lat byłem odpowiedzialny za sprawy sportowe, w tym też czasie 7-krotnie Unia Leszno zdobyła drużynowe Mistrzostwo Polski. W tym okresie sponsorowałem utalentowanego, wybitnego sportowca Romana Jankowskiego, obecnie trenera Unii Leszno, Piotra Pawlickiego – ojca wspaniałych żużlowców Piotra i Przemka oraz barwną postać speedwaya i Mistrza Świata motorowodniaków Adama Łabędzkiego. Speedway to sport dla odważnych ludzi.



Jak widać, jest pan związany ze sportem prawie całe życie. Czy dzisiejszy sport różni się czymś od tego sprzed kilkunastu lat?

Bardzo. Przede wszystkim wspomniany doping. Kiedyś były pochodzenia roślinnego, można powiedzieć, że „miękkie”, dziś to chemia, która jest po prostu oszustwem, która tworzy fałszywych sportowców-bohaterów. Dziś sport to potężna walka interesów. Kiedyś sport pozwalał nam wyróżniać się wśród młodzieży z małych miast czy wsi. Proszę tylko spojrzeć, skąd pochodzą sportowcy-legendy, tak np. Ryszard Szurkowski – kolarz i srebrny medalista z Monachium. Przecież to była gwardia

chłopców, którzy pragnęli zmienić swoje życie. Tysiące talentów rozsypało się po różnych klubach, kiedy poznali, czym jest Wyścig Pokoju. Retorycznie wypada zapytać, czy dziś sportowcy mają taką motywację?

Sport wpływa na postawę moralną człowieka?

Tak, ale tego się właściwie nie docenia. Prawdziwi sportowcy mają inne spojrzenie na świat, mają osobowość, w którą wierzą rzesze ludzi, fanów. Zanim ktoś zdecyduje się wybrać taką karierę, lepiej żeby usiadł i spisał swoje cele i był świadom, że będzie musiał się przystosować do nowego życia. Sportowiec musi być konsekwentny. Do tego trzeba mieć mocny kręgosłup moralny. Jeśli czasem w tym plugawym życiu, człowiek nie pójdzie tą sportową linią, to przyciąga do siebie porażkę.



Kolarstwo to jedyny ulubiony sport?

Trudno mi powiedzieć. Dyscyplin, które lubię jest wiele, ale sport sam w sobie to dla mnie pasjonująca filozofia. Kiedy założyłem związek małżeński, żona nie pozwoliła mi kontynuować kariery kolarza szosowego. Dzieci i dom, nie było mowy, żeby z tego zrezygnować. Pamiętam, jak oglądałem start mojego zawodnika w wyścigu dookoła Polski, widziałem go na czele pelotonu.

Rozbeczałem się, nie mogłem powstrzymać łez przez dobre pół godziny. Samochody jadą, światła w tej gromadzie, niezwykle skupienie, słychać tylko ciągły szum... (tu rozmówca jednym dźwiękiem oddał to, co miał na myśli – przyp. red.)

Kim chciał pan zostać, będąc dzieckiem?

Oj, córcia! Menadżerem sportowym!

Niemożliwe, przecież takiego słowa jeszcze pan pewnie nie znał jako dziecko.

Bo chyba najpierw znałem znaczenie tego słowa. Mieszkałem w Kościanie, z okien widziałem sanatorium dla psychicznie chorych. Obserwowałem ten budynek, każdą jego kondygnację. W wyobraźni podzieliłem sobie go na różne obszary życia. W jednym miałem firmę mleczarską, w drugim tor kolarski, w następnym doskonały klub piłkarski. Na konie nie było miejsca w tej wylizance, one pojawiły się później. Ale pamiętam ten widok, jak dziś. Miałem plan na życie. Wierzyłem swoim marzeniom. Taki się już urodziłem!

Kiedy pojawiły się konie?

Konie to nie mój sport, nie będę czarował, że jest inaczej. Byłem wiceprezesem Unii Leszno Żużel, który mnie pasjonował, potem zawsze pasjonowała mnie piłka nożna, więc i tym sportem zająłem się jako sponsor. Nawiasem mówiąc, mój brat był piłkarzem pierwszoligowym Warty Poznań i z ogromnymi emocjami oglądałem jego grę w ekstraklidze. A konie? Mój wspólnik (w zakładzie mięsnym Agro-Handel Śrem – przyp. red.) Jan Ciesielski, z którym znam się od dziecka i przepracowałem z nim 40 lat, miał kilka koni. Pewnego razu zwrócił mi uwagę, że tak wspieram różne dyscypliny sportowe, a omijam jeździectwo. Zabrał mnie kilka razy na zawody w skokach przez przeszkody i złapałem ten klimat. Stwierdziłem, że piszę się na to.

Co jest dla pana w życiu najważniejsze?

Lojalność. Słowo, przyrzeczenie. Nie ma innych wartości. Jeżeli obiecuję coś zrealizować, jeżeli nawiązuję z kimś współpracę, nie ma takiej siły, by moje słowo zostało złamane. W tym też tkwi mój sukces jako menadżera sportu albo jak pani woli – mecenasa sportu.

Jakie wartości chciałby pan wprowadzić do polskiego jeździectwa?

Profesjonalizm. To wiąże się z określeniem zakresu obowiązków różnych ludzi pracujących na sukces danego jeźdźcy i konia. Za co odpowiada PZJ? Za powołanie kadry, za rozliczenia kadry, ile zawodnicy dostają za wyjazdy na zawody; trzeba przyjąć menadżerów, którzy będą dostawali 10-20% prowizji. Tak jest na świecie. A polskie jeździectwo to nadal potężna amatorszczyzna. Działam bezinteresownie, wszystkie zawody, które robię w Śremie,

kosztują mnie więcej niż może się wydawać. Wiem, że to nie są imprezy o randze międzynarodowej, ale na tyle tylko mnie stać. Musimy też oddzielić amatorów, którzy mają prawo do swoich zawodów, od wychowywania mistrzów. Trzeba zrobić bazę dla dzieci, dla młodzieży, żeby mogły się rozwijać, a ci, którzy wchodzą już do polskiej klasy mistrzowskiej, powinni mieć określone komfortowe warunki pracy. A nie wszyscy mają. Związek powinien mieć ustalone stawki za starty w konkretnych zawodach typu CSI. To nie może być dowolne, musi być określone. To mogą być grosze, ale niech będą zarządzane profesjonalnie. Nie będę określał umiejętności czołowych skoczków, bo nie jestem od tego, byłoby to nie na miejscu. Wiem tylko, że liczy się sukces. Tego przykładem jest Łukasz Wasilewski, którego bardzo lubię. On nie jeździ gorzej niż zawodnicy zagraniczni. Ma wolę walki. Lepiej skończyć z rzucaniem określeń „doskonały stylowo”, skoro ktoś taki w rankingu jest np. 48. Dzisiaj wszystko jest wolnorynkowe. Jak Wasyl ma sponsora, jeździ, jak jeździ, jest drugi i już. To się liczy. Nie dyskutujemy nad stylem. Mówmy o faktach.

Sport to trampolina do bohaterstwa. Dlaczego w jeździectwie nie ma aktualnie żadnego bohatera na miarę Adama Małysza?

Bo to sport niszowy w Polsce. Nie ma propagandy, telewizja publiczna tym się nie interesuje, są tylko branżowe media dla pasjonatów, a to jest zamknięty obieg.

Czym są dla pana pieniądze?

Dają szczęście. Może to głupie określenie... ale przyznaję też, że trzeba być wariatem, żeby żyć wyłącznie zarabiając pieniądze. Bez nich nie ma wielu rzeczy, to prawda, ale ważny jest umiar. Nie ma bez nich sportu, nie ma tych Małyszów. Dzięki pieniądзом mogłem podróżować w najdalsze rejony świata. Widziała pani pokój z pamiątkami z podróży, to prawie muzeum. Dzięki pieniądзом mogłem wyjechać do Afganistanu, żeby poznać racje talibów, a nie żywić się propagandą telewizyjną. Dzięki pieniądзом mogę zasypiać znając różne perspektywy, różnych ludzi. W Polsce czuć ciasne umysły. Kiedy mnie to zmęczy,

wyjeżdżam do Berlina, w którym mam mieszkanie. Podziwiam Niemców i działalność Angeli Merkel.



Prowadzą skuteczną politykę światową. W społeczeństwie okazują potężny szacunek starszym ludziom, tam nikt nie wytyka ludzi na ulicy za to, że wygląda inaczej, bo tak chciał albo bo tak zmieniło go życie czy choroba. Nikt nie spojrzy z obrzydzeniem na stare kobiety, które mają poważny problem z nadwagą. Niemcy kochają swój naród, ale to znaczy że kochają ludzi.

Jest pan hedonistą?

Lubię przyjemnie żyć. Ważne jest dla mnie dobre towarzystwo, przyjemności płynące z ucztowania w słowiańskim stylu i ogromną energię czerpię z oglądania zmagania moich sportowców. Bardzo lubię przebywać z Rosjanami. Z nimi znajduję wspólny język. To jest naród, który wie, jak się bawić. Przy nich odpoczywa moja polska dusza.

Które miejsce na świecie najbardziej przypadło panu do gustu?

Wietnam. Ludzie zrobili tam na mnie potężne wrażenie. Wietnamczycy to niepokonani bohaterzy. Podziwiam ich siłę, o której wiemy z historii. Jestem pełen podziwu, że pokonali Amerykanów. Wietnamczycy to dla mnie przykład narodu, który wie, jak walczyć. W tym są dla mnie wzorem. Nie mówię o ustroju, tylko postawie życiowej.



Mówił pan o pewnej ciasności mentalnej w Polsce. Co jeszcze nie podoba się panu w Polakach?

Brak tolerancji wkurza mnie potężnie. Każdy jest taki, jaki jest. Czy ludzkie wady dają prawo do okazywania braku szacunku? Ja mogę rozmawiać z każdym, nie przeszkadza mi, kto z jaką partią trzyma. Czuję się, jak na Polaka, bezpartyjnym człowiekiem i w głosowaniach też nie biorę udziału. Która partia jest w stanie zamienić Polskę w kraj szanujących się ludzi? Której to się udało? Nie biorę też udziału w zjazdach PZJ. Nie interesują mnie takie spotkania. Interesuje mnie cel. Wielokrotnie

podsuwano mi pismo pod nos do podpisu, żeby obalić Szczypiorskiego. Nie interesują mnie takie rzeczy. Nie do mnie z taką wojenką. I lepiej też, żeby jeźdźcy-malkontenci nie zbliżali się do mnie. U mnie jeździec może mieć gorszą technikę jazdy, ale musi mieć ducha walki.

Zdarzało się panu przeprowadzać takie rozmowy z jeźdźcami, w których trzeba było potrząsnąć malkontentem?

O, pewnie! Agro-Handel nie może pokazywać się, jako firma porażki i jeźdźców, którzy na dobrych koniach tylko patataj, patataj... My tu rozbudowujemy zakłady, firma ma dobrą renomę i nie możemy być w rankingu sportowym poza pierwszą dziesiątką. Zdarzają się tacy jeźdźcy, którzy o tym zapominają, przyjmują taktykę długiego treningu, za którym nie idą żadne sukcesy, żadne zwycięstwa. Takim osobom przypominam, że na tym sport nie polega.

A z Mściwojem Kieconiem miał pan takie rozmowy?

Nie. Mściwoj jest niezwykle ambitnym zawodnikiem. Takie rozmowy prowadzi z nim ojciec. Mściwojowi nie brakuje motywacji. To wspaniały młody i inteligentny człowiek. Jeśli będzie miał za dużo tej motywacji, to może popaść w stres.

A co pan mówi jeźdźcom, których trzeba zmotywować, oprócz tego, żeby wzięli się w garść?

Nie mówię, żeby brali się w garść. Mówię tak: czy zapomniałeś, jak się jeździ? Byłeś Wicemistrzem Polski Juniorów, Mistrzem Polski Młodych Jeźdźców i co? Konie masz lepsze. Chyba nie zapomniałeś, czym jest jeździectwo. Masz chwilowe załamanie, przecież ja nie chcę cię zwolnić, wierzę w ciebie.

Co jest dobrą stroną polskiego jeździectwa?

To, że mamy przyszłość przed sobą! Cały czas mamy ją przed sobą. Skaczymy coraz wyżej, jest postęp, ale świat ucieka. Jeszcze. Pieniądze są największym problemem. Mogę zapewnić wspaniałą organizację klubu, zawodów, selekcję młodych koni, ale przyjdzie ktoś, kto położy duże pieniądze na stół i zniknie taki koń jak Urbane. I tego się nie da pokonać. Brak nam wizji, sponsorów i wytrwałych sportowców.

Jaka jest pańska wizja?

Krótko powiem: twarze. Stawiam na twarze, które mają przyciągać ludzi. Moją twarzą była Lusina, jest Skrzyczyński i Kiecoń. Ci najlepsi zawodnicy byli i są kojarzeni z zielonymi frakami. Teraz stawiam na Bętkowskiego, a tuż za nim jest Gramza. Zdaję sobie sprawę z pewnych ograniczeń, które mam. Ile jeszcze będę zajmował się końmi? Już poświęciłem im 12 lat.

Czym są dla pana puchary jeździeckie? Można powiedzieć, że to kolejne pańskie prywatne muzeum...

Łasy jestem na nie. Mam ich 1300. To jest historia mojego klubu. Przecież nie spamiętam wszystkich sukcesów, tego gdzie, kto i za co zdobył taką statuetkę.

Słyszałam, że zawodnicy oddają panu oryginały pucharów, a pan im daje repliki.

To prawda, tak dzieje się z pucharami, które są najwyższymi odznaczeniami, z najważniejszych rangą zawodów typu Mistrzostwa Polski. Klub powinien mieć oryginał nagrody. To wzmacnia poczucie wartości Agro-Handlu. To mi przypomina o tym, że to co robię ma sens, że moje sponsorowanie jest słusznie ukierunkowane. Niestety łatwo jest zapomnieć o tych, którzy stoją za plecami sportowców. Proszę zwrócić uwagę, ile poświęca się w prasie miejsca na informację o sponsorach i właścicielach koni – takie dane są pomijane.

Skoro czuje się pan mecenasem sportu, czy ma pan na oku kolejną dyscyplinę, którą warto wspierać?

Mam pięcioro wnuków. Najstarszy ma 20 lat, młodszy od niego o pięć lat jeździ konno. Tego za rączkę prowadzałem na mecze piłkarskie. W przerwie wbiegaliśmy na boisko, żeby spróbować paru piłkarskich sztuczek i pokazać się publiczności. I ostatnio ten wnuczek tak mówi do swojego ojca: była piłka, chodził ze mną na mecze, teraz są konie, patrzy jak jeżdżę, a jak mu zachce się rugby, to kim będę? Dziadek ma zmienne nastroje! I ma rację ten mój wnuczek. Konie są moim ostatnim zajęciem. Nie mam czasu już na zmianę, angażowanie się w coś nowego. Gdybym był młodszy... to zresztą żyłbym tak jak żyłem. Niczego nie żałuję, żadnej decyzji.

Jak to się stało, że zdecydował się pan otworzyć zakład mięsny?

Kiedy miałem 27 lat, zostałem prezesem Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Gierłachowie i tam miałem zakład mięsny.

Spółdzielnię budowaliśmy od podstaw. Po sześciu latach chcieli mnie z niej zwolnić nie członkowie, tylko władze, bo nie podobały im się moje innowacyjne pomysły na zakład mięsny. Ale się udało. W mięsie prowadziliśmy najlepsze interesy. Mieliśmy potężne pieniądze. To się zmieniło, kiedy nastąpiła polityka Balcerowicza.

Co jest siłą Agro-Handlu?

Najważniejszą są ludzie, stażyści, którzy tutaj dorośli, którzy wnieśli kawał swojego życia. Pracownicy stanowią rodzinę. Poświęcili się dla firmy, potrafią zostawać po godzinach, kiedy mamy nagłą naradę.

Ma pan jakąś życiową porażkę?

Nie mam takiej, a nawet jeśli zdarzały się takie niepomyślne sytuacje, to zaraz byli przy mnie ludzie, którzy mnie z nich wyciągali. To właśnie kolejny atut moich pracowników. Prowadząc tak dużą firmę nie da się uniknąć słabszych momentów, kiedy nic nie idzie zgodnie z planem. Mam wtedy ochotę to wszystko rzucić. Myślę sobie, że wszystko sprzedam i wyjadę na Wyspy Kanaryjskie.

No i dlaczego tego pan nie zrobił, skoro miał na to ochotę?

Bo lubię tworzyć. Budować sukces, obserwować, jak rosną notowania klubu. Teraz po raz szósty jesteśmy najlepsi w rankingu PZJ. To daje kopa do dalszej pracy, a nie do ucieczki. Zielone fraki są prestiżowe. Jest mi bardzo przyjemnie otrzymywać tego potwierdzenie.

Kto zdecydował, w jakim kolorze będą fraki dla jeźdźców?

Ja. Musiały być zielone, bo Agro-Handel to firma rolnicza.

Na czym buduje pan poczucie własnej wartości?

Na sukcesach w pracy i w rodzinie.

Czy sukces to tylko wynik?

Tak.



A bycie razem w drodze do sukcesu?

Tak, to też, tak jak powiedziałem – siła Agro-Handlu jest w ludziach, w ich gotowości do poświęceń, w ich dobrej energii i chęci do współpracy.

Jak reaguje pan na komentarze, w których zarzuca się, że Agro-Handel – zakłady mięsne nie powinny sponsorować sportu, w którym są konie?

Jak można porównać konie do krów czy świń? Nie będę odpowiadał na takie komentarze. O czym w ogóle jest mowa? Przychodzę co najmniej trzy razy w tygodniu do naszych koni, głaszczę je i karmię. Nawiązuję z nimi relację, nie siedzę tylko za biurkiem. Wieczorem biorę taczkę z owsem i rozdaję do żłobów. Sprawdzam, czy konie nie są za chude, sprawdzam, czy są w derkach czy nie. Nie wyobrażam sobie, żeby mogła je spotkać jakaś krzywda.

Ma pan wiele ciekawych znajomości, m.in. od Urszuli Dudziak, którą przypadkiem poznał pan w restauracji Wolna Europa, dostał pan kontakt na malarza, który osobiście znalazł Niemena i namalował dla pana jego portret. Niemena słucha pan do dziś?

Tak. Mam wszystkie jego płyty, ale muszę przyznać, że nigdy nie podrywałem kobiet na śpiewanie Niemena. Jakoś nie wypadało. To takie męskie granie. Bezwzględny artysta i drogowskaz mojego życia. Nagrywam sobie różne kompilacje jego utworów i słucham w samochodzie i proszę sobie wyobrazić, że zdarza się, że wracając z myjni, w samochodzie już nie ma muzyki Czeška. To też o czymś świadczy.

Śpiewał, że dziwny jest ten świat, faktycznie taki jest?

Tak. Niemen w tym utworze śpiewał też o tym, z jaką pogardą ludzie się do siebie zwracają. Śpiewał też, że przyszedł czas, żeby nienawiść zniszczyć w sobie. Czy te słowa się jakkolwiek zdezaktualizowały? Ludzi coraz więcej dzieli niż łączy.

Rzuci Pan jeździectwo?

Nie. Obiecuję. Teraz myślę o kolejnym Mistrzostwie Polski.

A jak się nie uda?

Komu? Klubowi Agro-Handel Śrem?

Mówi pan o tym z taką pewnością, że może to już nie jest nawet wyzwanie dla pańskiego klubu.

Jest, bo za tym mistrzostwem będzie jeszcze wyższa ranga.

Jak pańska żona, z którą jest pan w związku od 42 lat, reaguje na to, że w 100% angażuje się pan w promocję sportu?

Króciutko: bankrutem będziesz już w najbliższym czasie. A ja ją pytam: Uluś, a kiedy chciałabyś zbankrutować?

Jak pan ją poznał?

Przyjechałem z wyścigu kolarskiego, koledzy zaprosili mnie do wsi na dożynki. Potańczyłem z koleżanką żony. Nie zwróciłem na nią uwagi od samego początku, ale pierwsze, co zapamiętałem, to niezwykle zgrabne nogi Uli. Wiedziałem, że muszę się z nią umówić. I jak widać, udało mi się.